OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM.

Numer pojedyńczy Mk. 1.800.000.

ŚWIAT

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE.

Rok XIX. WARSZAWA. Dnia 12 kwietnia 1924 r. № 15.

Cena niniejszego numeru Mk. 1.800.000.



ŚWIAT

Rok XIX. № 15 z dnia 12 kwietnia 1924 r.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem Stefana Krzywoszewskiego









Znany historyk, autor licznych monografji, b. prezes ministrów, p. Artur Śliwiński z racji ukazania się książki J. Grabca o margrabi Wielopolskim kreśli uwagi, które powinny zaciekawić szerszy ogół polski.

WÓDZ BEZ ARMJI.*)

Ostatni szlachcic...

Tak zatytułował J. Grabiec swe dwutomowe dzieło o Wielopolskim. Tytuł ten budzi wątpliwości. Z pojęciem szlachcica łączy się typ, przypominający raczej p. Paska, z jego rozlewną fantazją, męstwem, blagą, humorem i warcholstwem, niż typ magnata, który na własną rękę prowadził układy z obcemi potencjami, lekceważył sobie „mospana króla" i w dążeniach swoich śmiało rzucał rękawicę opinji narodu. Prawda, że szlachcicem był pan Pasek i król Sobieski, ale już stokroć łatwiej wynaleźć cechy wspólne pomiędzy Janem III a Janem Chryzostomem Paskiem, niż między tym ostatnim a posępnym margrabią. Nie typem szlachcica, ale typem możnowładcy był Wielopolski. Tak też Grabiec traktuje margrabiego. Więc nieporozumienie, jakie może wywołać sam tytuł, rozwiewa się szybko. Lecz w miarę czytania powstaje inne pytanie: czem jest książka Grabca, do czego autor dążył i jaki cel miał na widoku?

Pod względem zużytkowanego materjału dzieło Grabca niewiele przynosi nowego. Nie jest to praca, pisana na podstawie poszukiwań archiwalnych, a wyświetlająca za pomocą nowych przyczynków działalność Wielopolskiego. Nie jest to również życiorys w ścisłem tego słowa znaczeniu. Wiele ważnych szczegółów biograficznych pomija autor milczeniem, a dopiero w drugim tomie wyjaśnia, że nie chodziło mu bynajmniej o napisanie życiorysu, ale „jedynie o skreślenie postaci margrabiego, jako politycznego typu"...

Jakoż pod tym kątem widzenia dzieło Grabca rozpatrywać należy.

Jakże wygląda ów typ polityczny, który w dziejach naszych reprezentuje margrabia?

Przez długie lata Wielopolski wywoływał najsprzeczniejsze poglądy. Mówiono o nim z gniewem lub zachwytem, z nienawiścią lub uwielbieniem. Ale ktokolwiek zajmował się tą postacią, nie przechodził obok niej obojętnie. Już to jedno świadczyło, że margrabia nie był pospolitym człowiekiem.

Spróbujemy tu uwydatnić najpierw kilka znamiennych rysów Wielopolskiego, a następnie porównać je z wizerunkiem, jaki daje Grabiec.

Wielopolski miał dumny kark i rękę ciężką, jak łapa lwa. Kiedy walczył, to nie przebierał w środkach. Do celu szedł przebojem. Z przeciwnikami nie pertraktował, ale starał się ich zmiażdżyć jednem uderzeniem swej żelaznej pięści. Mściwy, małostkowy, rządzący się niepomierną pychą w stosunkach z ludźmi, od zarania swej pracy publicznej rozżegał namiętności i budził ku sobie nienawiść. Wielce wrażliwy na głosy krytyki, ale w głębi duszy żywiący pogardę dla opinji publicznej, był sam sobie sędzią

*) J. Grabiec: „Ostatni szlachcic, Aleksander hrabia Wielopolski, margrabia Gonzaga Myszkowski na tle dziejów". 2 tomy. Nakład T-wa Wydawniczego. Warszawa—Kraków 1924.

i sumieniem. Nie poddając się nastrojom, ogarniającym społeczeństwo, w okolicznościach wysoce niesprzyjających rozwinął niezwykłą energję i wykazał wielki zmysł praktyczny. Gdy ogół żalił się, modlił, manifestował i śpiewał pieśni patrjotyczne, margrabia, osaczony zewsząd płomieniami nienawiści, przekształcał administrację kraju, tworzył szkolnictwo, samorząd i sądy polskie. Niepohamowany despota, dawał się we znaki zarówno rodakom, jak satrapom carskim, którzy nie mogli znieść jego pychy i niczem niezachwianej pewności siebie.

Suchozanet, wytrącony z równowagi dyskusją z Wielopolskim, krzyknął pewnego razu z wściekłością:

— Pan zapominasz, że mnie na moje stanowisko sam cesarz przysłał!

— A mnie prosił,—odpowiedział wyniośle i szyderczo margrabia.

Takich powiedzeń, mniejsza już o to, prawdziwych, czy legendarnych, ale niewątpliwie trafnie malujących charakter Wielopolskiego, wiele przeszło do historji.

Margrabia w świetle swej działalności wyrasta przed naszemi oczyma, jako człowiek o niezwykłej pewności siebie i potężnej sile woli. Reprezentuje ponadto niezaprzeczony talent organizacyjno-administracyjny, dużą inteligencję, wszechstronne wykształcenie. Walki, które toczył na dwa fronty: z jednej strony z czynownictwem moskiewskiem, z drugiej—z własnym narodem, tworzyć będą zawsze zjawisko bardzo ciekawe. To zjawisko nigdy nie przestanie pociągać zarówno dziejopisa, jak dramaturga,

Inaczej zgoła przedstawia się Wielopolski, jako polityk i statysta.

Niemal do ostatnich czasów, bo jeszcze w pierwszym roku wojny światowej, pewien odłam polityków polskich w programie Wielopolskiego szukał uzasadnienia dla swych pomysłów i planów. Świadczyło to wymownie, że w ciągu półwiecza był margrabia najwybitniejszym przedstawicielem tego kierunku polityki naszej, który przyszłość Polski łączył z unormowaniem stosunków polsko-rosyjskich pod berłem Romanowów. Był więc Wielopolski duchowym ojcem ugody, która po roku 1863 pod różnemi postaciami wtargnęła do naszego życia. Ale ta ugoda, przystosowywana do okoliczności, coraz bardziej w taktyce swojej odbiegała od pierwowzoru, toczyła się po linji pochyłej, a nie wydała ani jednego polityka, któryby wielkopańskim gestem i pewnością siebie przypominał Wielopolskiego. Polityczni jego spadkobiercy nie mogli też w ciągu całego półwiecza poszczycić się ani jedną z owych zdobyczy, które przed powstaniem styczniowem dumny pan polski przywiózł do kraju ze stolicy nad Newą.

Jakież były główne wytyczne polityki Wielopolskiego?

Za punkt wyjścia tej polityki przez długi czas uważano słynny list szlachcica polskiego do Metternicha. W liście tym margrabia, przez nikogo nie upoważniony, imieniem szlachty polskiej zwracał się do cara, jako do władcy Polaków „z łaski Boga" i, nie stawiając żadnych żądań, „bez zastrzeżeń" oddawał naród polski pod opiekę carską. W tym liście chciano widzieć zasady polityki słowiańskiej, której miał hołdować krytyczny względem zachodu margrabia. Faktycznie było inaczej. Wielopolski był heroldem trójlojalizmu. Jego „słowiańskość" nie przeszkadzała mu w r. 1847-ym namawiać rodaków w Poznańskiem do oportunizmu względem władz pruskich. A w roku 1848 marzył „słowiański" margrabia o wytworzeniu siły narodowej w Galicji i projektował adres do cesarza. „Siła ta, — pisał w swym adresie, — stanie się pomocą i obroną dla Waszej Ces. Mości, jak niegdyś hufce Sobieskiego"...

Jeśli później zwrócił znowu swe nadzieje ku Rosji, to stało się tak skutkiem wydarzeń w Kongresówce. Te wydarzenia potępiał, ale czerpał z nich siłę w układach z władzami rosyjskiemi. Stanąwszy u celu i zdobywszy władzę, chciał ręką z żelaza zatrzymać koło historji. Ale postępowaniem swem pchał to koło naprzód, nadawał mu rozpęd coraz większy i wrogom swoim, „czerwonym", pomagał do zdobywania opinji na rzecz planów powstańczych. Wyniosła go na szczyty fala niezadowolenia, a on tę falę chciał wstrzymać w swym biegu. Był pewien, że w swych niedźwiedzich barach zdusi wszelki opór społeczeństwa, a nie dostrzegał, że z własnego punktu widzenia popełniał błąd za błędem. Nie o to bowiem chodzi, czy, jako przeciwnik powstania, mógł do powstania nie dopuścić, ale co uczynił, by wybuch powstrzymać. Prawda, wydzierał caratowi ustępstwa, dawał krajowi doniosłe reformy, ale jednocześnie odstraszał od siebie społeczeństwo. Odepchnął szlachtę, która była powstaniu przeciwna, oburzył na siebie duchowieństwo. Wprawdzie

Grabiec twierdzi, że „walka margrabiego z klerem była tak czy inaczej koniecznością", bo „kościół katolicki i państwo są to instytucje skazane na walkę zawsze i wszędzie". Ale margrabia miał zapewne inny na tę sprawę pogląd: to pewna, że nie występował przeciw kościołowi, lecz przeciw księżom, którzy udziałem w manifestacjach patrjotycznych przyczyniali się do stwarzania atmosfery niepokoju. Brutalnością swoją oburzył nietylko kler, ale ogół katolicki kraju. Pomiędzy obozem białych a obozem czerwonych leżała przepaść. Margrabia, wbrew Polakom uszczęśliwiając Polaków, wypełnił swą osobą tę przepaść, zbliżył ku sobie przeciwległe krańce i w ten sposób stał się współtwórcą powstania. Ta sama fala, która go wyniosła, zmiotła go później z powierzchni.

Wielopolski padł ofiarą przedewszystkiem własnych swych błędów. Jako mąż stanu, nie rozumiał społeczeństwa i nawzajem przez społeczeństwo był niezrozumiany. Pracował, nie wiedząc o tem, nad zniweczeniem celu, który mu przyświecał. Przegrał sprawę, ale nie była to przegrana, którą otacza blask chwały, jaki po wszystkie czasy unosić się będzie nad głową wodza, co padł na polach Maciejowic. Kościuszko poniósł klęskę w walce z wrogiem, Wielopolski padł w boju z własnym narodem.

Cóż pozostawił po sobie?

Spadek wielkich statystów to ma do siebie, że wytrzymuje próbę czasu i zmienne koleje losów narodu. Taki spadek pozostawili potomności Ostroróg, Modrzewski, Zamoyski, Żółkiewski, Ossoliński, Staszic, Kołłątaj, Mochnacki. Z wielu ich dzieł i czynów z pokolenia w pokolenie płynie moc krzepiąca. Takiego spadku nie pozostawił po sobie Wielopolski. Któż dzisiaj krzepić się będzie jego stosunkiem do własnego społeczeństwa, kto znajdzie wskazówki w „Liście szlachcica", w propagandzie trójlojalizmu, w projektowanych memorjałach do cesarza i cara?

Wielopolski pozostanie w historji, jako typ polityczny wielkiego pana polskiego na dawną modłę, jako działacz o wielkiej energji, silnej woli i dużem poczuciu godności własnej. Ale z jego idei i programu politycznego nie pozostanie dla przyszłości nic.

Przechodząc teraz do książki Grabca, zaznaczyć trzeba, że po doskonałym rodowodzie, z którego autor wywodzi typ polityczny margrabiego, sama jego postać nie została dość wyraziście uwypuklona.

Grabiec krytycznie ocenia Wielopolskiego. Podkreśla, że nie orjentował się on w stosunkach społecznych, widzi w nim rozliczne wady, ale z sympatją traktuje margrabiego i stara się wymierzyć mu pełną sprawiedliwość. Nazywa go „tytanem", wspomina o jego „genjalnej" wyższości nad społeczeństwem, powiada. że jego ideologja była „jak gdyby z jednej bryły granitu wykuta". Lecz fakty, przytaczane przez autora, sprzeczają się nieraz z temi określeniami. To też chwilami fizjognomja polityczna Wielopolskiego przedstawia się w książce Grabca niewyraźnie i mglisto. Odnosi się wrażenie, jakgdyby autor czynił wysiłek, by nie być posądzonym o stronniczość. Skutkiem tego w interesującej i sumiennej dwutomowej pracy, pełnej cennych rozważań i spostrzeżeń, powściągliwa refleksja autora złagodziła wiele sprzeczności i kontrastów, ale odbiła się ujemnie na plastyce w przedstawieniu działalności margrabiego.

Mówiąc o wielkiej władzy, jaką zdobył Wielopolski, powiada Grabiec, że margrabia rozpoczął „stanowczy zwrot w polityce narodowej", jako „faktyczny wódz kraju i narodu". Trudno zgodzić się na to orzeczenie. Polityka Naczelnika Rządu Cywilnego i polityka narodu kroczyły stale rozbieżnemi drogami. To też faktycznym wodzem narodu nie mógł być mąż stanu, który z narodem prowadził nieustanną walkę, uzbroił przeciw sobie wszystkich, a dla swych planów nie pozyskał nikogo. Był wodzem margrabia, ale wodzem bez armji. I to było największym jego dramatem, a zarazem główną przyczyną jego strasznej klęski.

Artur Śliwiński.

Z WYSTAWY PRAC GRAFICZNYCH MARJI DZIEWULSKIEJ.



Zamek w Wilnie (Autolitografja).



Gdańsk. Wieża ratuszowa.

Wystawa prac graficznych Marji Dziewulskiej

w Salonie M. Arcta.

Lata powojenne przyniosły renesans czarno-białego kunsztu!

„Grafika", sztuka naszych pradziadów, wróciła do swych praw; wszędzie, gdzie tylko na świecie znajdują się malarze, tam i grafika powstaje. Jestto potrzeba chwili; widocznie tak być powinno, kiedy tak jest.

Ale nasza grafika święci nawet zupełnie wybitne tryumfy. Wszędzie, czy w Amsterdamie, czy Londynie, czy Stokholmie, witają naszych grafików z otwartemi rękami. Gazety rozpisują ogromnie długie wywody — słowem, podobamy się im.

Na miejscu widzimy całe szeregi nazwisk stosunkowo młodych, — wszystko graficy. Do tej ostatniej generacji zaliczamy panią Dziewulską.

Jestto zdecydowany talent. Mówię dlatego: zdecydowany, że to są zdolności specjalnie graficzne.

Widzimy obecnie w Salonie Arcta cały szereg prac tej autorki. Widzimy studja z natury, obrazy skończone, kompozycje, notaty brane wprost z życia, ulice pełne ruchu i wrzawy, wreszcie ślicznie skomponowane, w litografji wydane „opus dla dzieci"; jest w tem i bajka i dobrze odczuty sentyment natury w wyobraźni dziecka.



Marja Dziewulska.

„Kotki wpadły do lasu,
narobiły hałasu".

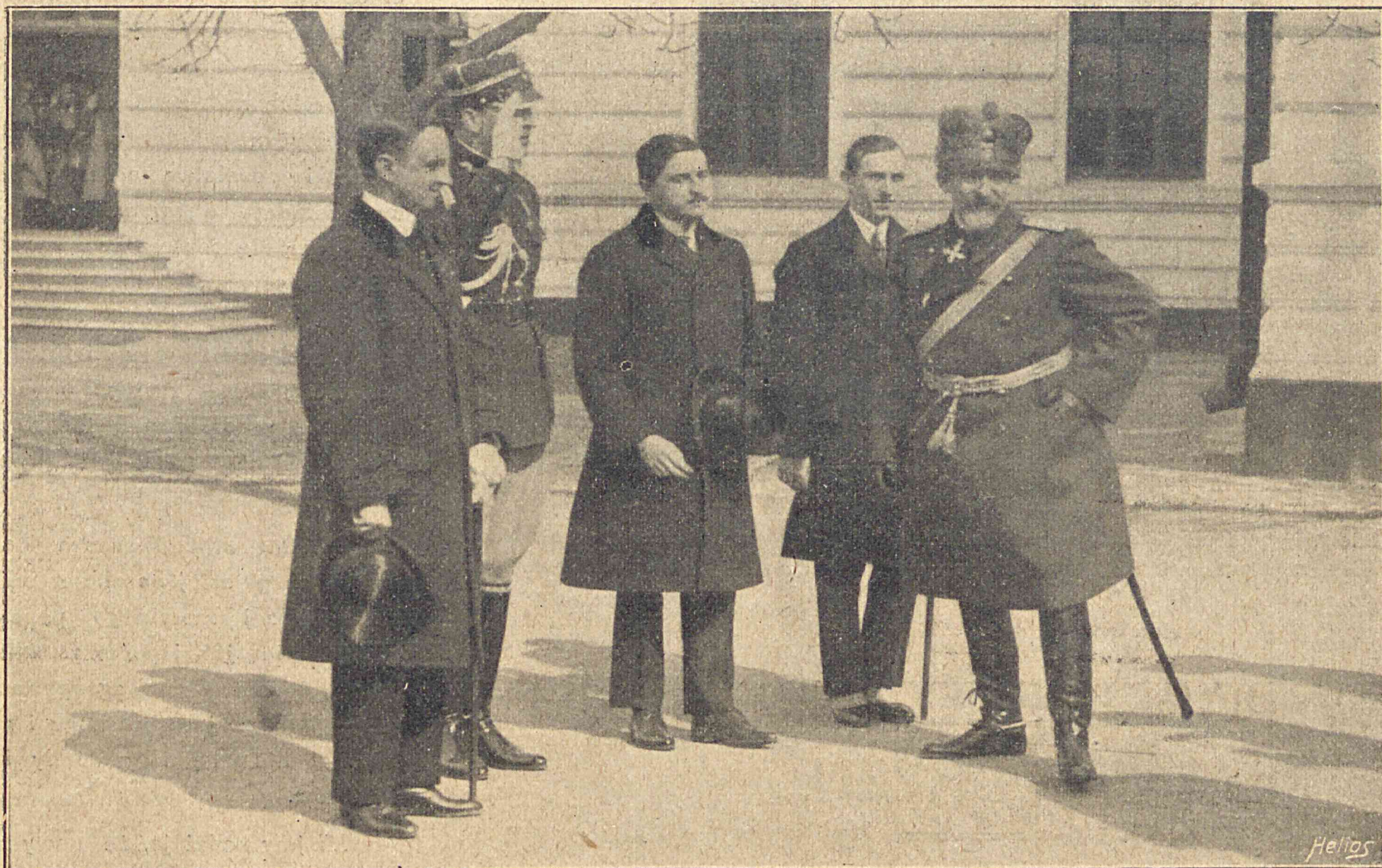
Pani Dziewulska mogłaby z wielką korzyścią dla sprawy podjąć pracę na poły pedagogiczną, na poły artystyczną, zilustrowanie „bajek polskich". Nie mamy takiej książki dla dzieci. Wydać rzecz podobną mogłoby stanowić przedmiot ambicji dla artystów o podobnem uzdolnieniu. Polepszyłaby książka podobna stan obecny. Mamy w tych wydawnictwach stanowczo za dużo cudzoziemszczyzny. Te: Kazie, Kasie, Jadzie, Zosie, Stasie nie są rodem z nad Wisły — raczej jakieś eleganty z bardzo daleka, wymuskane, przyczesane lordy, czy markizy — zgoła obcy naród. To jedno.

W pracach autorki widzimy duży zmysł dekoracyjny — dlaczego nie widzimy ani jednego „plakatu"? Ten tak potrzebny i tak wciąż zaniedbany rodzaj u nas wręcz krzyczy o pomoc, o siły i zdolności dekoracyjno-graficzne.

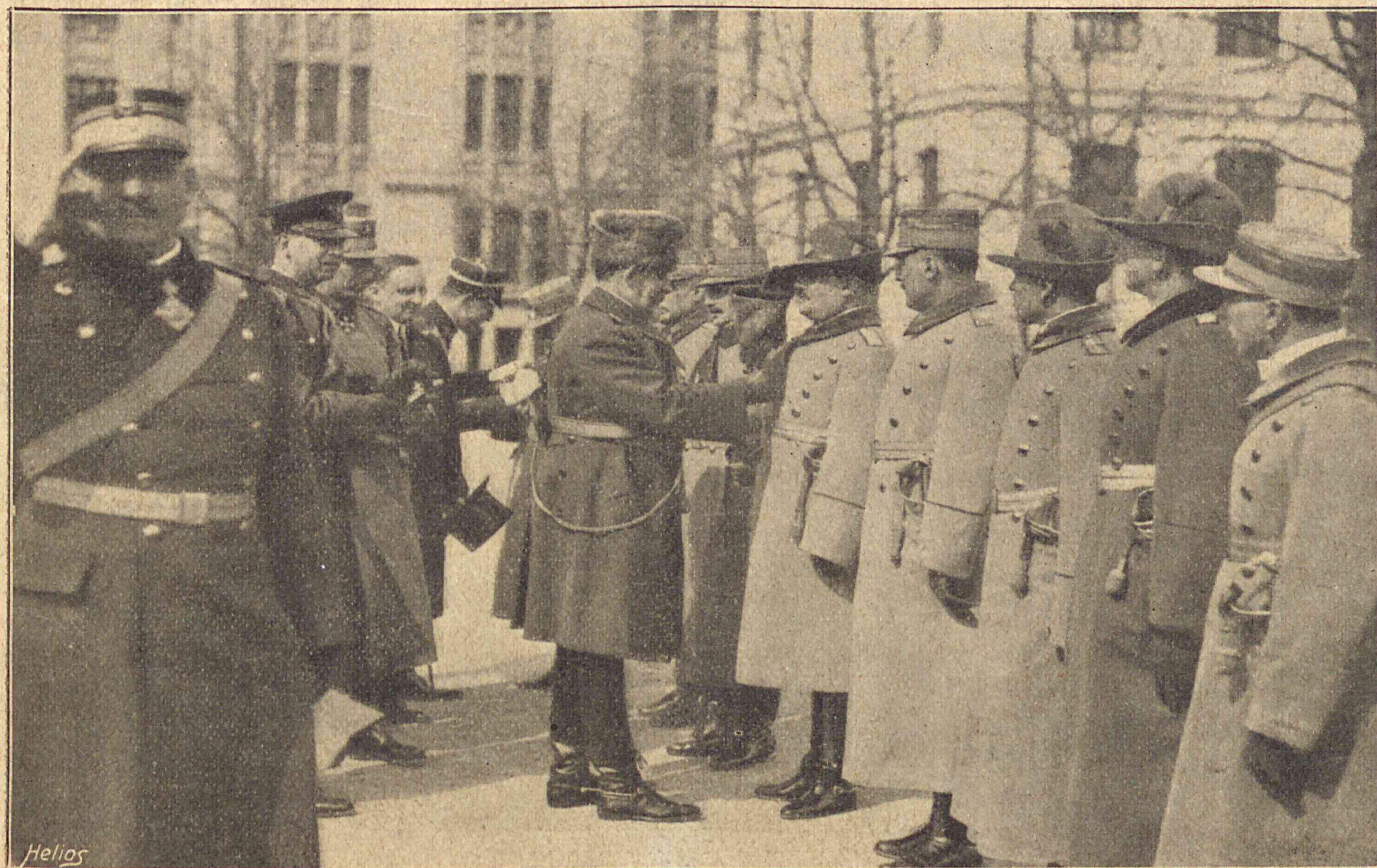
To jest pole do bardzo daleko idących możliwości artystycznych.

Władysław Wankie.

Uroczystość nadania „Virtuti militari" oficerom i żołnierzom rumuńskim dn. 23 marca r. b.



J. k. mość król Ferdynand wita się z p. posłem Wielowieyskim, attaché wojskowym mjr. Morawskim i sekretarzami poselstwa polskiego Starzewskim i p. Czerwińskim.



J. k. mość król Ferdynand w chwili dekorowania.

POWITANIE POSŁA POLSKIEGO NA DWORCU W PARYŻU.



1) Woźnicki, 2) hr. Morawska. 3) major Kleberg, 4) major Dowbor, 5) pani Chłapowska, 6) konsul Lasocki, 7) p. Lipski, 8) p. Chłapowski, 9) p. Szymiczek, 10) hr. Szembek, 11) p. Halpert. Fot. A Harlingue, Paryż

NOWY POSEŁ RZECZYPOSPOLITEJ W PARYŻU.

Od paru dni Paryż gości w swych murach nowego posła Rzeczypospolitej Polskiej. P. Zamoyski pozostawił po sobie dobre wspomnienie w Paryżu; p. Alfred Chłapowski nie może się skarżyć na brak sympatji, która otoczyła go od chwili przyjazdu. Nowy poseł jest Poznańczykiem, a zatem pochodzi z dzielnicy, która najwięcej ucierpiała od wspólnego wroga Francji i Polski. Poprzedziła go sława doskonałego ekonomisty i opinja człowieka energicznego i czynnego, a nigdzie chyba placówka polska nie wymaga więcej pracy i energji, niż w Paryżu. Wspólność zaś interesów Polski i Francji w obecnych czasach sprawia, że bardzo pożądanym jest dziś we Francji, jako poseł, człowiek, znający wybornie bogactwa naturalne i warunki ekonomiczne swego kraju.

Należy mieć nadzieję, że nowy poseł nie zamknie się w murach gmachu Poselstwa, — nawiasem mówiąc, wcale okazałym, — ale wejdzie w bezpośredni kontakt z szerokim ogółem francuskim, postara się poznać do głębi duszę ludu francuskiego i zbliżyć się do niej, odczuwając w niej największego sprzymierzeńca Polski. Znajdzie w tem zresztą dzielnych pomocników, jak p. Kazimierza Woźnickiego, niezmordowanego działacza i doskonałego znawcę stosunków francuskich, oraz pełnego zawsze dobrej woli i uczynności p. konsula Lasockiego.

Ogół francuski pokłada wielkie nadzieje w nowym pośle co do ułożenia się stosunków handlowych i ekonomicznych między dwoma krajami, a wiąże się z niemi bezpośrednio i sprawa emigracji chłopskiej dość drażliwa chwilami. — Pozatem wolno się również spodziewać, że roztoczy on opiekę nietyle materjalną, ile moralną nad zbliżeniem umysłowem i artystycznem obu narodów. Prawie wszystkie poselstwa zagraniczne w Paryżu posiadają t. zw. sekcję artystyczną, zajmującą się popieraniem spraw literackich i artystycznych danego narodu. Poselstwo polskie sekcji takiej nie ma. a w danej chwili warunki finansowe nie pozwalają nawet marzyć o jej stworzeniu. Ale w dziedzinie moralnej więcej nieraz dokaże dobra wola, niż środki materjalne.

Dlatego brać literacka i artystyczna kolonji polskiej oczekuje od nowego posła raczej moralnego poparcia, niż jakiejkolwiek innej pomocy. Miejmy nadzieję, że potrafi on zgrupować dokoła siebie jednostki rozproszone i zdane na łaskę i niełaskę swych indywidualnych wysiłków.

Miejmy nadzieję, że nowy poseł ze zwykłą sobie energją weźmie i to nowe a niełatwe do dźwignięcia brzemię, na ramiona i potrafi stać się przedstawicielem nietylko Polski ekonomicznej i politycznej, ale i myśli polskiej na obczyźnie.

Paryż *Dr. M. Kasterska.*

Delegacja polska do rokowań z rządem francuskim w sprawie nowej konwencji emigracyjnej.



Z lewej strony na prawo: 1) p. Zdrojewski, ekspert, 2) poseł Wachowiak, delegat, 3) p. Fr. Sokal, przewodniczący delegacji, 4) p. St. Gawroński, delegat, 5) p. Wł. Sokołowski, delegat, 6) p. dr. Marja Balsiger. ekspert.



Spahisi francuscy w Dakarze.

We francuskim Senegalu.

W drodze z Brazylji do kraju ojczystego miałem sposobność zwiedzić wybrzeże senegalskie. Ze strony oceanu ziemia ta wygląda strasznie mizernie. Niskie piaszczyste brzegi, gdzieniegdzie porośnięte nędzną trawką, lub pokryte suchotniczemi kępkami drzewek — przyprzypominają nieustannie, że niedaleko stąd panuje władczo największa na ziemi pustynia Sahara. Ani śladu bujnej roślinności, ani śladu szumiących strumyków lub jurnie sterczących szczytów nowej ziemi. Słońce tylko gorące i jaskrawe grzeje nie gorzej, niż w kraju „Krzyża Południa".

Kraj jest pozbawiony malowniczości, malownicze natomiast jest jego życie. Zamieszkują go murzyni sudańscy oraz szczepy: Fulb, Haussa i Tuaregowie. Wszyscy ci murzyni, jak i arabi są wyznania mahometańskiego. Biali mieszkają tylko w miastach, które są zresztą nieliczne i niewielkie, oprócz Dakkaru.

Ludność tubylcza gnieździ się głównie w głębi kraju oraz na przedmieściach miast, w okrągłych, lepionych z gliny, lub budowanych z bambusu chatach. Są to ludzie nieskazitelnie czarni, przystojni, zgrabni i muskularnie zbudowani; prawie nie widać wśród nich ludzi wzrostu niskiego, a nawet średniego. Kobiety niejednokrotnie posiadają rysy niemal europejskie, a zawsze równą, aksamitną, czarną cerę. Są one również tak okazałe wzrostem, że w Europie wzbudzałyby podziw. Jedynie grube wywinięte wargi nadają ich twarzom coś dzikiego czy zwierzęcego,—cechy te bezwątdienia odstręczają francuzów-zdobywców i z pewnością dlatego w Senegalu nie widzi się prawie wcale mulatów. Są tylko czystej krwi biali i nie mniej czystej czarni.

Charakterystycznym jest również sposób poruszania się tych kolonjalnych obywateli francuskich. Wszyscy oni chodzą, gestykulują, poruszają się z taką gracją i wdziękiem, jak gdyby byli stałymi bywalcami salonów paryskich. Swoboda, niefrasobliwość i pewność siebie wybitnie odróżnia senegalczyków od ich braci z Brazylji.

Sposób ubierania się, przyjęty od arabów, jest malowniczy. Różnokolorowe wolne burnusy, fezy, zawoje — oto codzienny strój mieszkańca Dakkaru. Kobiety owijają się kawałkiem materji, tworząc rodzaj sukni w biodrach obcisłej, u dołu wolnej. Na przedmieściach i w głębi lądu murzynki używają ubrania tylko od pasa w dół, górną część pozostawiając na pastwę oczu czarnych elegantów.

Każda mająca jakie takie pretensje senegalka jest obwieszona bransoletami, kolczykami i amuletami. Ręce, nogi, szyja, piersi, uszy są przeładowane świecidełkami; najczęściej są one ze srebra lub bronzu, chociaż nie brakuje i europejskiej tombakowej tandety. W uszach, noszą nieraz po sześć lub osiem kolczyków. Są wszystkie bardzo zalotne i rzucają powłóczyste spojrzenia.

Niewątpliwie jedną z bardziej ciekawych osobliwości senegalskich są liczne kolonjalne wojska francuskie. Cała ta siła zbrojna, kierowana przez francuskich oficerów i wyższych podoficerów, składa się, z wyjątkiem baonu piech. kolonjalnej i artylerji, wyłącznie z murzynów. Dowództwo jednak, licząc się z możliwością prób oderwania kolonji, tak przeprowadza dyslokację oddziałów, że np. murzyni z Wybrzeża Kości Słoniowej służą w Senegalu i odwrotnie Senegalczycy na Wybrzeżu Kości Słoniowej.

W ten sposób żołnierze, choć również czarni, znajdując sie w obcym krajn, mówiąc innym językiem, nie czują najmniejszej solidarności z tubylcami. Każdy też bunt miejscowy, czy próby większego powstania tłumione są przez nich z niezwykłem okrucieństwem i bez żadnego współczucia. Oczywiście inaczej przedstawiałaby się sprawa, gdyby synowie Senegalu mieli tłumić jakąś rewolucję we własnym kraju. Kto wie, czy wów-



Wioska murzyńska w Senegalu.

czas nie zwróciliby swej nowoczesnej broni przeciw dotychczasowym panom.

Przed koszarami w Dakkarze odbywa się stale rodzaj bazaru czy jarmarku. Mnóstwo kobiet i dziewcząt, siedząc ze skrzyżowanemi nogami na ziemi, sprzedaje przeróżne drobnostki. Drobne orzeszki ziemne, amulety i napoje chłodzące są przedewszystkiem chętnie nabywane przez czarnych wojowników. Żołnierzy kręci się tam mnóstwo, są oni — w przeciwieństwie do senegalczyków — odstręczająco brzydcy. Małe szpiczaste główki nadają im wyraz idjotów, pozatem nagłe i bezustanne drapanie się czyni ich podobnymi do małp.

Wszyscy są ubrani prawie tak samo, jak żołnierze polscy. Bluzy i spodnie tego samego kroju i tego samego koloru, na nogach również owijacze, nawet broń



Dziewczyna maurska.

ta sama, tylko czerwone, spłaszczone na bokach fezy i czarne gęby różnią ich od naszych chłopców. Oficerowie i sierżanci w służbie noszą mundury płócienne koloru jasno kawowego, poza służbą białe. Na głowach korkowe kaski, używane zresztą przez całą ludność białą, włącznie z kobietami.

W Dakkarze wciąż się mówi o tem, że jednak chwila ogłoszenia przez murzynów swojej niepodległości — wcześniej czy później — nadejść musi. Przyznam się, że patrząc na rosłych, o względnie inteligentnym wyrazie twarzy senegalczyków, — sam zacząłem odczuwać coś w rodzaju zdziwienia, czemu ci ludzie pozwalają panować nad sobą garstce białych przybyszów.

M. B. Lepecki.

Wizyta przedstawicieli Związku Korespondentów Polskich w Paryżu w redakcji „Matin'a".

Dnia 9 b. m. Związek Korespondentów Polskich w Paryżu pod przewodnictwem jego prezesa, p. Pawła Kleczkowskiego złożył w rannych godzinach wizytę naczelnemu dyrektorowi „Matin'a", senatorowi Henry de Jouvenel, i zwiedził jednocześnie redakcję, administrację oraz drukarnię tego wielkiego dziennika paryskiego.

Senator Jouvenel przyjął gości w sali udekorowanej sztandarami francuskiemi i polskiemi i na powitanie zaznaczył, że przed wojną Francja miała dwie rany: Alzację i Lotaryngję oraz Polskę. Lecz obecnie rany te się zabliźniły. Wita on z całego serca przedstawicieli prasy polskiej w Paryżu, szczęśliwy, że widzi wśród nich reprezentantów różnych odłamów myśli polskiej, będąc przekonanym, że wszystkie te odłamy zgodnie współpracować będą z prasą francuską ku ustaleniu równowagi w Europie i spokojnej współpracy ludów europejskich.

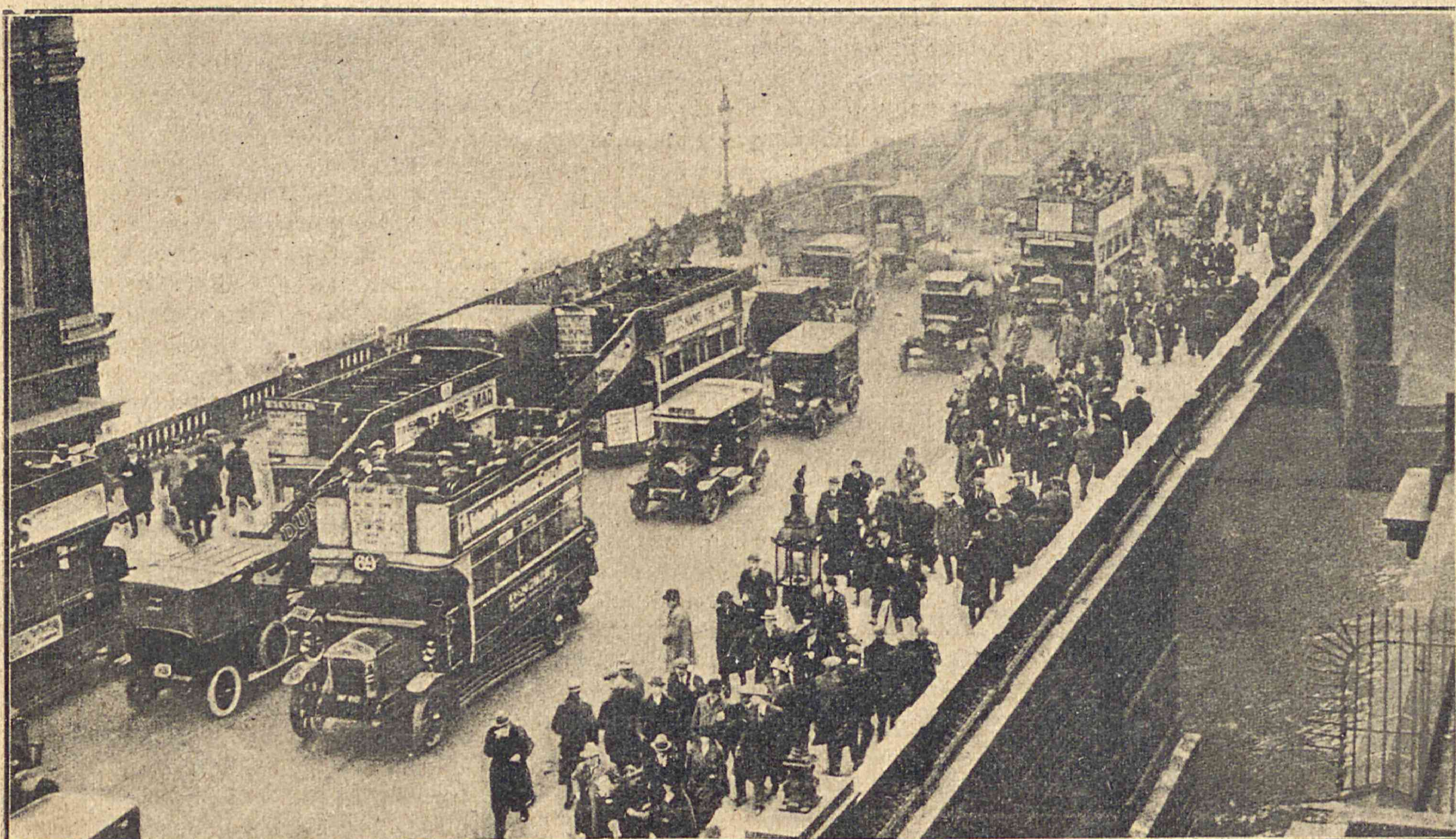
Na powyższą przemowę odpowiedział p. prezes Kleczkowski, dziękując za uprzejme przyjęcie. Na zakończenie były prezes Związku i doyen dziennikarzy polskich we Francji, p. Antoni Potocki, gorąco polecił Senatorowi interesy emigracji robotniczej polskiej we Francji.

Paryż. *S.*

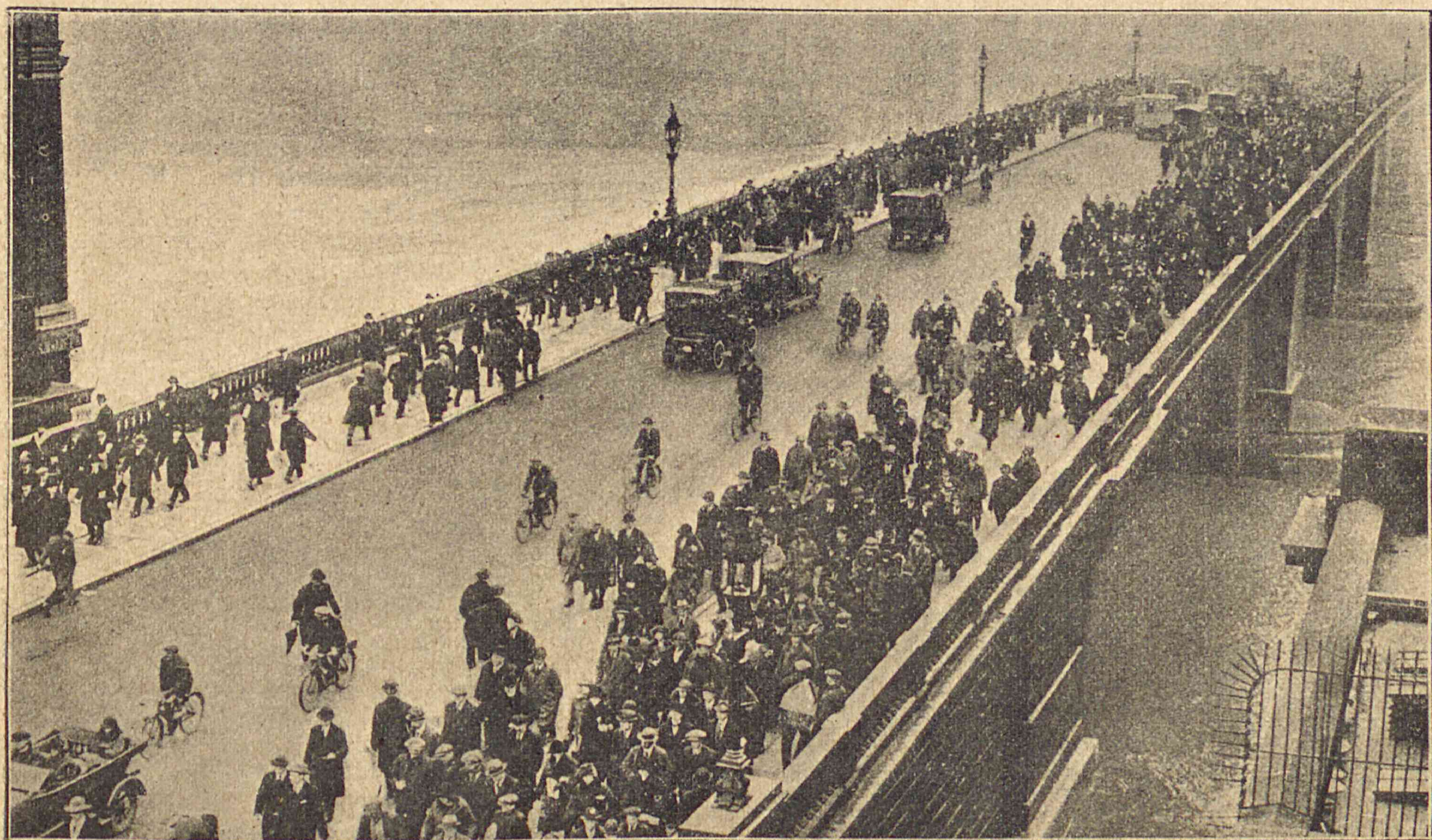


Fotografja zdjęta podczas wizyty Związku Korespondentów Polskich w Paryżu u senatora Jouvenel'a, redaktora „Matin'a" dnia 19.3. 24. Od prawej strony ku lewej stoją: pp. Włoszczewski, Grott, Aubac, Stefan Kleczkowski, Kasterska, Paweł Kleczkowski (prezes Związku), senator Jouvenel, Potocki, (doyen), Smogorzewski, Woroniecki, Bzowiecki i Sołtan.

Strejk tramwajarzy i szoferów omnibusowych w Londynie.



Most na Tamizie w normalny dzień, gdy kursują automobile i omnibusy: jezdnia pełna jest wszelkiego rodzaju wehikułów.



Ten sam most podczas strejku: jezdnia jest prawie pusta. Na chodnikach za to panuje ścisk.

Fizjognomja nowego Berlina.

Kto nie lubi niespodzianek, kto nie znajduje przyjemności w nieoczekiwanej przygodzie, ten niech dziś, w czasie ciągłej wymiany uprzejmości sąsiedzkich między Polską a Niemcami, wybierze się, dokąd chce, byleby nie w stronę granicy niemieckiej. Bo nie każdy potrafi się wesoło zapatrywać na takie intermezzo, jakie się n. p. mnie wydarzyło w miasteczku Pile. Zatrzymano mnie w nocy — o 10 tej i nie pozwolono mi ani na jazdę do Niemiec, ani na powrót do Polski. Nie pomogły protesty, ani prośby; bardzo grzecznie, lecz stanowczo, kazano mi czekać do rana, kiedy to z powodu niedzieli zjawił się naczelny pan komisarz dopiero o jedenastej i dobrotliwie i protekcjonalnie oświadczył *„Sie können fahren, alles in Ordnung“*.

Czemu?, co? dlaczego? wie pewnie pan komisarz — ja nie. Dla tych, którzy tą drogą jechać będą, dodaję, że dworzec w Pile w nocy jest tak samo nudny, jak w dzień, że śpi się źle na twardych krzesłach poczekalni i że ani pijany Gesangsverein, hałasujący po nocy, ani słynna kawa niemiecka nie dają odszkodowania za mitręgę i niepokoje.

Potem, nie mając innego połączenia, można się tłuc osobowym pociągiem do Berlina. Ma to swoje dobre strony, bo jedzie się z ludnością tubylczą i poznaje się jej nastroje.

Między Piłą a Berlinem podróżni są stanowczo monarchistycznie usposobieni, tęsknią za dawnym rządem, złorzeczą republice i obiecują sobie zmianę po nowych wyborach w maju. Są pełni uznania dla Hitlera, Ludendorfa czy Lossowa, pomimo, że proces w Monachjum wywlókł na światło dzienne rzeczy, które i monarchistom podobać się nie mogą. Naturalnie, że w najbliższej przyszłości liczą też na rewanż i odebranie Polsce „zrabowanych prowincji“.

Jeden ogromny stary Niemiec o krzaczastych brwiach, z typu podobny do Bismarka, opowiada, że spędza bezsenne noce, obliczając matematycznie nędzę, w jaką republika wtrąciła Niemcy. Według niego, 1 złoty fenig w markach inflacyjnych, ułożony papierowym pasem, obiegłby 5 razy ziemię, zapełniłby 200 wagonów kolejowych swą masą papierową, a ktoś, liczący te banknoty, musiałby przez 100 lat poświęcać 10 godzin dziennie temu zajęciu. Prawda czy nieprawda? Zresztą w Niemczech nikt już nie rachuje na miljony, miljardy, biljony; wszystko żyje, wszystko oblicza, wszystko płaci w „Rentenmark“, równającej się marce złotej.

Widząc, jak prędko, jak gładko właściwie dokonała się ta przemiana i trwająca już czas jakiś stabilizacja, trudno się oprzeć myśli, że ta cała wielka inflacja była sztuczną, była oszustwem kosztem drobnych kapitalistów, rentjerów i pensjonistów na korzyść wielkich finansów. Bez względu na kierunek polityczny, każdy biada, że w czasach inflacji działo mu się lepiej. Niema już łatwych i wielkich zysków giełdowych, niema spekulacji w dewizach, niema paska. Berlińczyk skarży się, że ma najdroższą walutę na świecie i jedzie na Rivierę lub do Włoch, bo tam pono taniej się żyje.

A przecie żyje on za swoją „Rentenmark“ lepiej i taniej, niż by przypuszczać można. Nie uciskają go ani wielkie podatki ani cła. Kolej jest tania; tramwaj przy ogromnych wielkomiejskich przestrzeniach kosztuje 15—20 fenigów, gazeta 10 fenigów, a pocztówka w miejscu tylko 3 f. Kupując taką pocztówkę, miałam dopiero sposobność pojąć różnicę, gdy mi za 5 fenigów wydano 20 miljardów. Życie z wyjątkiem niektórych produktów rolnych jest tańsze, niż u nas, a wyroby przemysłowe mało się różnią ceną od cen przedwojennych, nawet z powodu zastoju w handlu tanieją.

Na ulicach uderza przedewszystkiem ogromne bogactwo w sklepach. Najpiękniejsze owoce południowe, banany, ananasy, daktyle, świeże śliwki, brzoskwinie, winogrona, wszystkie nowalje już tu dostać można. Cudowne kwiaty z południa, futra, wspaniałe tualety, przedmioty zbytku.

Kto to dziś kupuje w zubożałych Niemczech? Niegdyś mówiono, że cudzoziemcy żerują, jak sępy, na nędzy niemieckiej. Dzisiaj niema cudzoziemców, znikła nawet nawała rosyjska i tylko czasami jeszcze słychać gdzieś dźwięki mowy Puszkina. Znikły szyldy rosyjskie, znikła wystrojona Głafira Siemionowna, mniej wychodzi pism rosyjskich.

Berlin znów jest miastem niemieckiem, i znów, jak przed wojną, chciałby zwabiać a nie wyganiać cudzoziemców. Dla nich to znów na wszystkich głównych ulicach przygotowano w licznych bazarach tanie wyroby drobnego przemysłu i niegustowne pamiątki z podróży. Ale cudzoziemcy nie tak łatwo zapomną brak gościnności, jakiego doznawali niedawno.

Unter den Linden i na Friedrichstrasse widzi się oprócz Berlińczyków tylko publiczność prowincjonalną, która jeszcze zawsze z nabożeństwem ogląda pałace i zamki na muzea przemienione, którą więcej interesuje pokój, gdzie Kronprinz jadł lub spał, niż najpiękniejsze dzieła sztuki. Ta publiczność kupuje pocztówki, które wysyła, zajadając *„inen Kuchen mit Schlagsahne“* w sławnej cukierni Kranzlera i donosząc o tym ważnym fakcie swej rodzinie w Bolzien, Köpenick czy Kötschenbroda. I ta prowincja, jak również sam Berlin, są odbiorcami wszelkich, w ogromnych masach wystawianych towarów

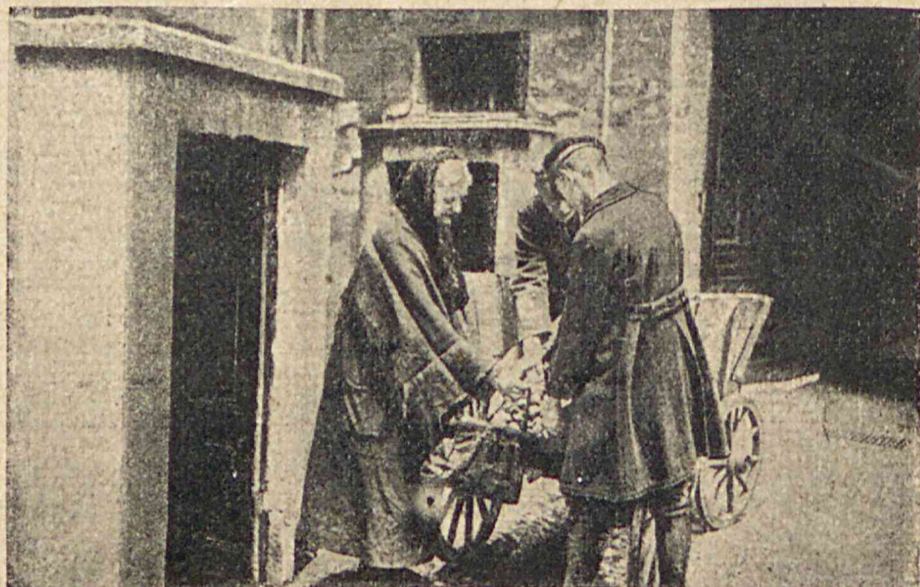
Trudno wierzyć wobec tych faktów w ubóstwo Niemiec, jak trudno zrozumieć, dlaczego kraj, posiadający bezsprzecznie wielkie bogactwa, apeluje ciągle o pomoc zagranicy dla swej istotnej nędzy, której w pierwszym rzędzie ci powinni przyjść z ratunkiem, którym wojna i czas powojenny tak ogromne przyniosły zyski, a którzy dziś rozrzucają pieniądze w Berlinie i za granicą. Obok nich zaś snują się po ulicach całe zastępy nędzarzy. Istnieją wprawdzie różne stowarzyszenia i związki dobroczynne, ale to kropla w morzu nędzy. Nędzy, o której Berlin w swoim szale zabaw, muzyki, tańca najchętniej zapomina.

Berlin, w marcu. *Stanisława G.*

W Berlinie młodzież szkolna niesie pomoc ubogim starcom.



Trzepanie dywanów i rąbanie drzewa.



Rozwózka kartofli.



STADO JELENI W PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ.

TRAGEDJA PUSZCZY.

8) (*Kartki o Białowieży*).

VIII.

Znacie, gdy przed wami, na wózku — półdrabku, głęboko wparta w pasiaste siedzenie bura świta — łatucha, na szerokich barach Ostapka, tu i owdzie rozpękła, nad nią rozkiwana czapa barania, dalej obłąk malowany nad zrudziałem chomątem i w takt sporego kroku kołyszący się, kłapouchy łeb gniady?

I szeroki, jasny, prawie do biała rozprażony gościniec przed wami, w świetliste, upalne przestrzenie beznadziejnie daleko ucieka, a kręta kolej goni za nim, przez wyboiska.

Koń biegnie jej śladem, tłucze wózek za sobą, a raz, po raz, aż szczękną zęby i ulży przekleństwo.

— Ach, ty... Kab ciabe raz wouki zajeli...

Bo zawsze koń winien w drodze, jak w domu — żona.

Więc batem po grzbiecie; łeb zakołysze się raźniej, a sporzej, dźwigną nożyska, lecz po chwili znów wraca znękana szkapina do zwykłego umiaru, wlecze w trudzie i znoju, przez zmudne koleje rozpląsany, turkotliwy półdrabek.

Bokami puszcza. Zwarta, ciemna i chłodna. Czubami sosen sięga pod chmury, a z rozpierzchłych liściastych konarów, nad jasnym szlakiem, przerzuciła sklepienie, w modre okienka. Dalej, w słońcu roześmiana zielenią polana, a tuż czarna martwa bajura, szmaragdowym blaskiem poszyta.

Ściana ponurych jodeł koliskiem ją grodzi, ani jej okiem przeniknąć, ani fantazją całej borów potęgi ogarnąć, a człowiek widzi swą mizerną małość.

Cisną się myśli, bór szumi i coś tam ciągle Ostapek pogaduje do konia. Przeklina i śmierci mu życzy, coraz wymyślniejszym sposobem, jakby nierad ze stanu własności.

— No, to padaruj go komu.

Aż się obruszył.

— Ta, jakże — podaruj! On druh miły, kormilec... a tu, sduru — padaruj...

Ale, radby pogadał. Więc na zapytanie, jaką przestrzeń puszcza zajmuje, aż się zaśmiał z ochotą:

— A chtoż jeju znaje? Dwadcat tysiąc wirst, każut... i jakby sam tą cyfrą zdziwiony, zadumał się chwilę:

— Koli nie breszut... — śmignął batem po koniu i już inną myślą zajęty.

— A, u Warszawie, duży tam domy?

— Duże, jak w mieście.

— A jak one duży?

— Większe od tego dębu.

— O — ho!

Chwilę w myślach coś ważył.

— A ludi, u was tam dobry?

Dziwne pytanie, gdy tak cicho i błogo, wśród ciemnych borów, a myśl, zdala od miasta radość niezmąconą przeżywa. I tak od zastanowienia daleka, jacy są ludzie, dobrzy czy źli, kiedy w tej chwili tak się wydaje, że szczęście, tam tylko, gdzie wielki płat nieba, las, pola bez kresu i, własna dusza.

Ani wie o tem Ostapek, jak to się serce niejedno wydziera z tych dużych domów Warszawy w te jego uprzykrzone światy. Jakby, w gaj czarów, gdzie buja w pełni radości i wdzięku zwierz silny, nigdy napastliwy, gdzie syty nie dręczy, a nie ginie nikt z głodu. I gdzie niema pokuty, bo niema grzechu i gdzie nie nazywa się — miłość.

I nie słyszy się słowa — kultura, natomiast spotyka w białoruskiej chacie starą, jak puszcza, gościnność. Nieraz wprost zdumiewające odczucia, jakich próżnoby szukać u chłopa pod miastem.

A ludzie...

— Wiedamo, co dobry... — odpowiada sam sobie Ostapek. I, po chwili, z westchnieniem:

— Kto bohaty — on dobry... Ta, i pocóż jemu być złym?

— A bez hroszy, nikoli, nijakoj dobroty, czy u Warszawie, czy tutki.

I rad sposobności, pocznie snuć śpiewnie swą troskę ponurą, jak to biednemu człowiekowi na świecie jest źle...

— Shori moja maty...

Ale powiada, że jeszcze rok temu, ani o tem myślał, ani by uwierzył, jaka to — horka ta nasza biadota.

— Jak warona był durny.

Aż przyjechali pany z Warszawy...

— A rozum-że u nich, — o — ho!

I usadził się mocno, czapy poprawił, śmignął batem po gniadym. Wartko wózek się toczy, wartko myśl płynie za łatwym prądem.

— I nie spodziewausia! Zahlanie sołnce i u nasze okonce...

— Usio budie porówno... dobre każut pany.

— Pewno nie pany.

— A niechaj i żydy, koli dobre każut. Kaby tolki dożyć... kaby dożyć — ta swoju ziamelku orać!

. . . .

Trzęsie koń łbem hakowatym, pod duhą, biegnie koleją, przez mękę twardej szkapiej doli wytartą, a biały, sypki gościniec przed nim kołuje, zwija się, wraca, jakby sam błądzi. To w zwartą knieję zapada, tajemnym manowcem biegnie przez mroki i chłód i, zda, się że blizki już kresu, aliści wysunie się nagle w żary słoneczne, rozwinie wstęgą, mgłami zasnutą, daleko.

Koń zwalnia kroku i chrapie znużony, a nad nim klnie człowiek.

Ale wciąż w kółko: — chwolera i triastia i — maty...

Aż znowu puszcza, cichym, żywiącym oddechem, jak dobrem słowem przywita. W otwarte, wiekowe wierzeje zaprasza gościnnie, u sklepionych podsiemi grab pokrzywiony, rudawy, brodaty ku drodze się chyli, staruszek — burgrabia, od wieków wygląda, kto jedzie.

— I cóż tam wieziecie ze świata jasnego, ze świata smutnego, w nasze mroki szczęśliwe?

Gdyby przemówił i gdyby w nim dusza, jakże by zdumiał na słowa zuchwałe i wrogie i — polskie, co nieraz tu padły.

Jakżeby się stary zatroskał, gdyby usłyszał pieśń nienawistną, nawykły do szumnych, radosnych wiwatów.

Grzmiała ona i tutaj po cichych osiedlach, w tej, jak powiadali, już zbutwiałej, jak łachmany szlacheckie, dawnopańskiej puszczy. A żegnał się nieraz w zdumieniu królewski osadnik, gdy-ni pan, ni-Iwan— groził swoim sądem przyszłości...

— Tfu — podawysia!

Niejednego olśniły błyskotliwe słowa; zdawał się chłonąć je w duszę, przez otwarte usta; drugi już poił się zawczas urokami przemocy, rabunku, bez kary i, wódką — na pohybel panów.

Sam — budzie pan!

Posiew słowa żywego, co padło na duszę — nowinę.

Bo, gnębiony przed laty, towarzysz lubił mocne wyrazy i rozumiał ich władzę. Przytem, niesłabe miał ręce, ale umysł, jak i dzisiaj, ubogi, nienawiścią zmącony. Radby zburzył, wytracił to wszystko, na co tysiące twórczych rozumów, serc tkliwych tysiące składało się, w jednym wysiłku, przez wieki.

Z jakąż to lubością, gdyby tylko wolę mu dać, topora i y się jął, pień w pień, dawne knieje wyrąbał, wydarł ślad nawet i spalił, a na żyzne, wypoczęte przez wieki, rozłogi rzucił pożyteczne nasienie. I z dumą światu ogłosił, że za jego to sprawą, na tem miejscu, gdzie odwieczna, dzika puszcza szumiała, gdzie dawni panowie odbywali zabawy, urodził się — owies.

— Owies jak — las!

Ileż to w Polsce, a w latach ostatnich padło takich posiewów. Nawet w cienie chaty podleśnej zapadły i nieraz duszy rozmodlonej, śpiewnej, rzewnością wezbranej plon niosły — zwątpienie.

I nagle stała się w niej cisza.

Zadumausia ciomny syn lesu.

Ale, przed figurą już czapki nie chyli, bo-smijutsia pany — że drzewom się kłania. A gdy pieśń pocznie, co myśli rozterkę, w dawnych światach, tęsknotach rozproszy, opamięta się wnet, z miejska ukłoni, z obcym mu dotąd, półdrwiącym uśmiechem i — czeka.

— A co?

— Ta, panie, na piwo.

— Za cóż, na piwo?

— Ta... — za pieśniu, panie.

I w głosie jeszcze śpiewna uległość, lecz w oczach, co myśli bliższe, już biega płowy niepokój. Jak w młodym wilku, który krew czuje w człowieku, a niech tylko cię draśnie, wnet skoczy do gardła.

Bo są dusze człowiecze, co tylko w zapomnieniu żyją szczęśliwe, zapatrzone w niebo, miłujące świat własny; z chwilą, gdy je ludzka opieka otoczy, idą na marne.

Jak leśne wrzosy.

Zygm. Bartkiewicz.

D. n.

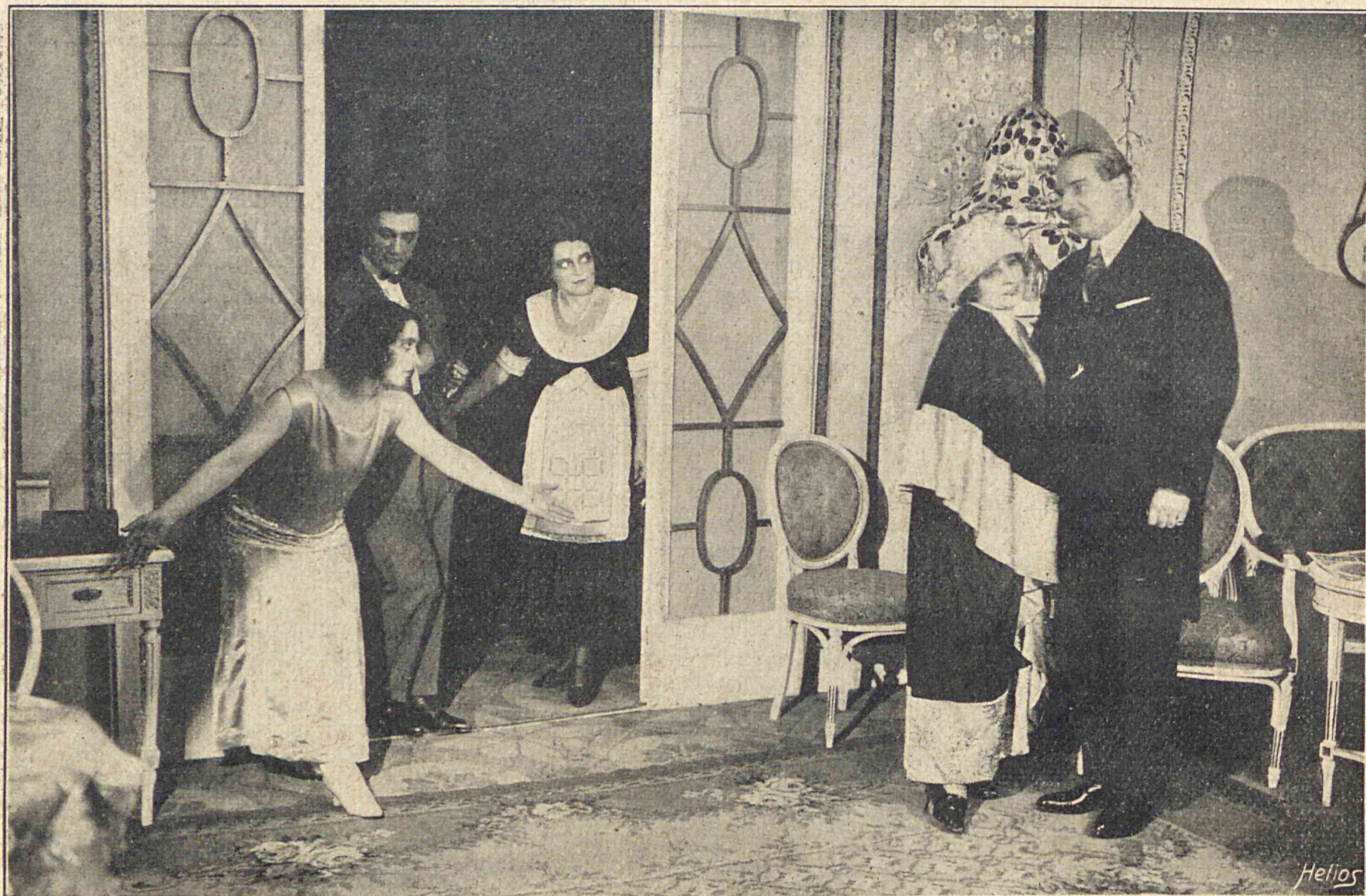
Echa powodzi na prowincji: Jak wyglądała Bydgoszcz w krytyczne dni.

Domy przy ul. Hermana Frankego, idącej wzdłuż Brdy, znalazły się w wodzie powyżej kondygnacji suterynowych. Mieszkańcy tych domów dostają się do swego „home" jedynie łodziami albo po przerzuconych prowizorycznie kładkach...



Imponujący gmach Poczty Okręgowej znalazł się podczas krytycznych dni wokół zalany wodą, która, wdarłszy się do piwnic, wypełnionych aktami i różnemi materjałami, wyrządziła tam poważne szkody. Fot. W. Wojucki, Bydgoszcz.

Teatr Letni: „On, ona i mama", komedja w 3-ch aktach Armont'a i Gerbidon'a.



Akt II. Od lewej: P.p. Brydzińska, Różycki, Jaszyńska, Pichor-Śliwicka i Walter. Fot. J. Malarski.

TEATRY WARSZAWSKIE.

Teatr Polski: *„Cyrano de Bergerac" — Rostanda.*

Wystawiona 29 grudnia 1900 roku w teatrze Porte Saint Martin romantyczna komedja Rostanda spotkała się z nadzwyczajnem przyjęciem publiczności. Catulle Mendés, pisząc sprawozdanie z premjery, podkreśla, że nigdy nie był świadkiem tak entuzjastycznego sukcesu. W równie gorący sposób oklaskiwano chyba tylko dramat Victora Hugo „Hernani", wystawiony po wielu latach prześladowań w Komedji Francuskiej.

Znakomity krytyk francuski występuje równocześnie z całym szeregiem zastrzeżeń natury artystycznej, pisząc dosłownie z wdziękiem, jemu tylko właściwym: „C'est pourquoi, sans nuire a Votre prodigieuse reussite je puis, mon cher Edmond Rostand, vous presenter quelques observations quand a vos procedés poetiques".

Dzisiaj wiemy, jak bardzo uzasadnione były zarzuty, z któremi wystąpiła współczesna Rostandowi krytyka artystyczna. Odrazu zwrócono uwagę na sztuczność poezji, niedbałość wierszowania, papierowość postaci i tanią efektowność teatralną. Ale od pierwszej reprezentacji stało się jasne, że rzadko która sztuka jest tak bardzo „du theatre", — że niewielu dziełom scenicznym naszego wieku danem było stworzyć epokę w zakresie koncepcji aktorskiej.

Wyjątkowość Cyrana de Bergerac polega nietylko na jego przemiłej, balladowo-poetyckiej fakturze, na chwytającym za serce liryzmie— którego wielką wadą jest gadatliwość i powierzchowność, — powodzenie tej sztuki płynie z genjalnej koncepcji bohatera gaskońskiego, który, będąc kochankiem rycerskiego mytu Francji (Boileau: „J'aime mieux Bergerac et sa burlesque audace"),—stał się ulubieńcem największych talentów aktorskich.

I — jak w dzień premjery, Rostand dzielić się musiał swym sukcesem z Coquelinem, tak też w każdy następny wieczór nowej reprezentacji połowa powodzenia przypadała w udziale największym przedstawicielom współczesnej sztuki aktorskiej. Rostand jest tylko półgenjuszem, a Cyrano — pół-bohaterem. Drugą połowę genjuszu i bohaterstwa daje im teatr i aktor. A wszędzie tam, gdzie zawodzi sztuka aktorska i kunszt teatru — blednie gwiazda Rostanda.

Obok Coquelina najświetniejszym Cyranem był Kainz. Jego Cyrano, to nietylko bohater niesłychanie odważny, prawy i do łez wzruszający, ale człowiek, o którym mówi francuskie przysłowie, że miał nos wielki i miękki, lecz serce jeszcze większe i jeszcze bardziej miękkie.

Teatr Polski dał romantyczno-bohaterskiej komedji prawdziwie widowiskową, feeryczną oprawę. Była to opera bez muzyki, symfonja barw, kolorów, kostjumów, kompozycja pomysłów dekoracyjnych i reżyserskich. Bogactwo aż przytłaczało lotność i gaskońską śpiewność djalogu. W tej zapamiętałej wierności historycznej było coś z namiętnego zaślepienia Meiningeńczyków i dużo z ociężałości Wagnerowskich oper. Poetyczność białego pióropusza, gallicka lekkość wiersza, oczywista i narzucająca się w czytaniu niewyszu-

kaność tła poetyckiego ucierpiały mocno w zetknięciu z kosztownym i kunsztownym weryzmem inscenizacyjno-dekoracyjnym.

Kreacja aktorska Jerzego Leszczyńskiego, — który w pierwszym akcie widocznie walczył z nabrzmiewającą materjalnością otoczenia, aby w każdym następnym rosnąć w siłę, poezję i szlachetność gestu— stała na wyżynie wielkich koncepcyj artystycznych. Cyrano Jerzego Leszczyńskiego miał wszystkie walory kochanka, rycerza i tragicznego poety, żył, kipiał życiem, budował swą myśl na scenie, w djalogu stawał się twórcą, zawsze był sobą, chociaż niczego dla siebie nie chciał, straszliwie ciągle pożądając. Brawurowych ballad (pojedynek, gaskońscy jesteśmy kadeci) nie wygrał wprawdzie do ostatka, odrzucając słusznie tradycyjną manjerę wirtuozów— ale we wszystkiem, co mówił, i jak mówił, był naprawdę ludzki-arcy-ludzki. A w ostatnim akcie był głęboko tragiczny, serdecznie wzruszający, szlachetnie piękny.

Dużo słodyczy i chłodnego wdzięku wniosła na scenę p. Pancewiczowa w roli Roxany; pomysłową groteskę stworzył p. Orwid Ogólny poziom gry aktorskiej i scen zbiorowych był bardzo poprawny.

Emil Breiter.

Z TEATRÓW AMERYKAŃSKICH.

All God's children got wings.

Pierwszemi słowami znanej piosnki murzyńskiej: „Wszystkie dziatki Boże mają skrzydła" posłużył się najbardziej znany i utalentowany współczesny autor dramatyczny amerykański Eugene O'Neill jako tytułem do swego najnowszego dramatu. Już w słynnej swojej sztuce, granej także w stolicach Europy: „Emperor Jones", czerpał O'Neill tematy ze sfer murzyńskich, tak znienawidzonych i pogardzonych w Ameryce. Tym razem posunął swoją odwagę jeszcze dalej, rzucił otwarcie rękawicę ku-klux-klanistom i nietolerancji społeczeństwa w Ameryce. To też oprócz laurów młody autor zbiera niemało obelg.

Akcja utworu rozpoczyna się w dzielnicy Nowego Jorku, gdzie stykają się z sobą ulice „białe" i „czarne", zamieszkane przez murzynów. Dzieci obu ras, które nie nasiąkły jeszcze przesądami, ani nienawiścią, jakiemi przepojone są umysły dorosłych, bawią się wspólnie na ulicy. Białą dziewczynkę łączy przyjaźń i sympatja z chłopcem murzynem. Dziewczyna, dorósłszy, dostaje się w złe towarzystwo, upada, jest kochanką boksera, który ją maltretuje. Zjawia się przyjaciel lat dziecięcych, uwalnia ją z nędzy i upadku i żeni się z nią. Z wdzięczności ona całuje go w rekę.

Fakt na scenie amerykańskiej niesłychany. Poniżenie się białej kobiety wobec murzyna. Ale sztuka kończy się tragicznie: bohaterka nie może przyzwyczaić się do ghetta murzyńskiego, bohater doznaje zawodu za każdym razem, gdy usiłuje znaleźć zajęcie „białego". Jak wszystkie sztuki O'Neilla, tak i ta daje świetnie podchwycone realistyczne obrazy z życia. Ale właśnie ten realizm, to małżeństwo mieszane w dramacie, małżeństwo przedstawione na scenie przez rzeczywistego murzyna i białą kobietę, ów pocałunek fatalny — wywołały burzę, krzyk, polemikę w gazetach i spowodowały aktorkę Paulinę Lord do zrezygnowania z roli. Wszystkie aktorki po kolei odrzucały rolę, żądając, by zamiast murzyna rolę kochanka grał biały, na murzyna ucharakteryzowany aktor. Na to nie chciał się zgodzić O'Neill.

Wreszcie udało się znaleźć odważną przedstawicielkę roli kobiecej. Mary Blair będzie grała z murzynem czystej krwi, z Pawłem Robson. Czy przedstawienie dojdzie do skutku? Czy obejdzie się bez skandalu? Ku-klux-klaniści i inni nieprzejednani wrogowie murzynów przygotowują wielkie demonstracje i awantury.

New-York. *S.*

Z jasnego brzegu: nieustający karnawał w Nicei.



Olbrzymie groteskowe figury karnawału w Nicei.

CZEGO NIE MA EUROPA, A CO POSIADA POLSKA?

NAUKA POLSKA.

Czy jest coś trwalszego nad zdobycz ducha? W dziejach kultury ludzkiej odkrycia Kopernika, pieśni Chopina zajmują znacznie ważniejszą rolę od wielu poczynań w innych dziedzinach życia zbiorowego. Powagę spraw tych poznaliśmy i doświadczyliśmy na sobie w lata niewoli. Uznać też musimy ich decydującą niemal rolę w życiu odpowiedzialno-państwowem.

Kto myśli o tej ważnej, decydującej rzeczy? Kto popiera naukę polską? Rząd? Społeczeństwo?

Wystarczy odczytać budżet państwowy na rok 1924, by przyjść do melancholijnych wniosków. Nielepiej wygląda ta sprawa, jeżeli rozpatrzymy się w ofiarach, złożonych na ten cel przez społeczeństwo. W roku 1921 łączna suma ofiar, zadeklarowanych w kasie im. Mianowskiego przez Sejmiki, magistraty, grona nauczycielskie, uczniów, firmy hand. i tow. akcyjne, banki oraz osoby prywatne, wyniosła 4.278.129 marek. W roku 1922 suma ta wraz ze spadkiem waluty osiągnęła 15.123 924 m. Nie trzeba tych sum przyrównywać do uposażenia jakiegokolwiek uniwersytetu amerykańskiego. Gdy jednak przeciwstawi się uposażenie jednego Collège de France do tych naszych ofiar, biorąc pod uwagę i wszystkie fluktuacje waluty — to trzeba powiedzieć, iż mizerja sum tych jest poniżej wszelkiego wyobrażenia o naszych zasobach materjalnych. Nie bierze się tu pod uwagę dobrowolnych ofiar obywateli francuskich na rzecz nauki — bo porównanie byłoby jeszcze więcej upokarzające. Nasi paskarze nie mają ambicji paskarzy francuskich, zabiegających o rozwój nauki, gdyż od tego rozwoju zależna też jest i przyszłość ich warsztatów pracy.

Człowiek pracujący naukowo, to warjat, dziwak, manjak. Żyje, jak asceta. Nie strejkuje. Nie urządza manifestacji. W ciszy laboratorjów i pracowni naukowych oddaje się o pustawym żołądku medytacjom i obserwacjom, które bardzo często prowadzą za sobą ulepszenia przemysłowe, techniczne, a nawet finansowe. Na zachodzie Europy rozumie się już tę doniosłość pracy uczonego i odpowiednio do tego honoruje się jego trud.

U nas nie chodzi nawet o specjalne hononarja dla uczonych. Są oni przeważnie ludźmi tak mało wymagającymi dla siebie, że zadawalniają się byle czem. Wołają oni tylko o podtrzymanie ich warsztatów pracy, o pieniądze na możność prowadzenia laboratorjów, na konserwacje i uzupełnienia zbiorów bibljotek.

A jednak mimo te smętne warunki, posiadamy jedną z takich placówek umysłowych, jakich niema gdzieindziej, Jest to wychodzący od chwili powstania państwa polskiego rocznik pt. „Nauka polska, jej potrzeby, organizacja i rozwój". Rocznik ten wychodzi z funduszów Kasy im. Mianowskiego.

Tom za rok 1923 zawiera cały szereg kapitalnych prac, poruszających zagadnienia związane z organizacją nauki. Uczeni nasi wbrew najbardziej niesprzyjającym warunkom zastanawiają się, jak zorganizować „astronomję na prowincji", pracę naukową w zakresie geografji, meteorologji, geologji, botaniki, zoologji, ludoznawstwa, archeologji, językoznawstwa itd. Nawet zadania lekarza na prowincji zostały uwidocznione, by można było dla skarbnicy wiedzy wykorzystać doświadczenia i tych pracowników. Myśl organizacyjna przesącza się tu w każdy indywidualny wysiłek i dąży do syntetyzowania, do koordynacji.

O pracy naukowej nad zagadnieniami gospodarczemi pisze prof. Fr. Bujak. Ten dział rozważań musi zainteresować szersze warstwy społeczne. Wszyscy przecież jesteśmy skazani na zmienność cen i niewspółmierność wartości obiegowej towarów. Praca naukowa nad całokształtem zagadnień gospodarczych jest bardzo ważną, ale i w tej dziedzinie nie czyni się u nas zbyt wiele.

Zaciekawić też musi każdego obywatela organizacja nauki we Francji, Stanach Zjednoczonych oraz Komisja współpracy intellektualnej przy Lidze Narodów. Wyczerpujące wiadomości o Francji w tym względzie daje prof. Konrad Drzewiecki. O stosunkach panujących w Stanach Zjednoczonych informuje prof. Florjan Znaniecki.

Bardzo dobrze stało się, że te prace znalazły się w jednym roczniku. Stosunki naukowe w obydwóch tych państwach stają na przeciwległych biegunach pod względem organizacyjnym, aczkolwiek nauka tak we Francji, jak i w Stanach cieszy się dużem materjalnem poparciem.

Francja ma urządzenia naukowe, tak liberalne, jak żaden kraj w Europie. Poziom jej wiedzy jest powszechnie znany. Szkoda, że zamało wzorujemy się pod tym względem na organizacjach francuskich. Szematyzm organizacyjny niemiecki zaciążył nad naszemi uniwersytetami. Władze nasze niechętnie patrzą na szkolnictwo wyższe o inicjatywie prywatnej, co jest akurat w odwrotnym stosunku, niż we Francji.

W Ameryce tak zwane „collège" jest wyższą szkołą, dającą przygotowanie praktyczne. Właściwe studja naukowo-badawcze odbywa się po ukończeniu tych kolegiów. U nas w Polsce z uniwersytetów stworzono jakiś typ pośredni: z jednej strony mają to być ogniska wiedzy, a z drugiej chodzi o przygotowanie dużego zastępu pracowników zdolnych do samodzielnego sprawowania urzędu czy zawodu.

Informacje o organizacji tego szkolnictwa wyższego zaciekawić muszą nietylko ludzi, poświęcających się nauce. Rocznik „Nauka Polska" zawiera wreszcie artykuły i referaty, które treścią swoją wybiegają daleko poza okręg sporów akademickich. I w tem leży również niezwykłość tego czasopisma.

W Ameryce wychodzą perjodyki poświęcone jakiejś jednej gałęzi nauki. Polska zdobyła się na placówkę omawiającą, dyskutującą i organizującą całokształt nauki.

Czy jednak wyjdzie następny rocznik „Nauki polskiej"?

Kłopotliwe pytanie!.. U nas dość często niema pieniędzy na rzeczy najniezbędniejsze, choć znajdują się dolary i franki na niepotrzebne reprezentacje i zbyteczne często zgoła wyjazdy dyplomatyczno-zagraniczne.

L.



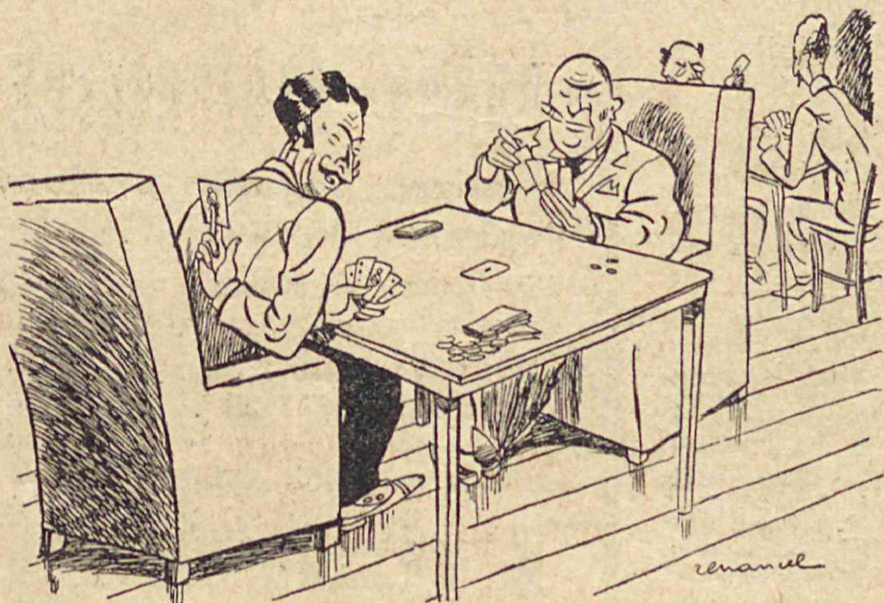
NAJNOWSZE MODY.

Kostjum spacerowy z materji w dużą kratę.

Obszerne sportowe palto z grubej materji—do auta lub nad morze—z szerokim kołnierzem do podnoszenia przy słocie.

Płaszcz z materji w duży deseń z podniesionemi szerokiemi wyłogami z okrągłem wycięciem w dolnej części palta.

HUMOR ZAGRANICZNY.



REPLIKA GRECKA.

Całe szczęście, że zostaje nam chociaż ten król atutowy.

(„Le Rire".)



— Doprawdy, nie wiem, czy warto było zdradzać mego męża!

(„Le Rire").

REBUS DO NAGRODY. UKŁADU GAMASTONA.

Ci z naszych czytelników, którzy pierwsi nadeślą trafne rozwiązanie, otrzymają trzy nagrody książkowe.

Rozwiązania należy nadsyłać do dn. 10 maja r. b. pod adresem: Warszawa, Szpitalna 12.

FELJETON WIOSENNY.

Wiosna tegoroczna wbrew swojej długoletniej tradycji nie wzbudza najmniejszego zaufania.

Na niektórych bocznych ulicach i zacisznych podwórkach widać jeszcze śnieg, ułożony w malownicze pagórki, zalepione pysznem nieprzemakalnem błotkiem.

Podobno prześwietny Magistrat stołecznego miasta Warszawy polecił śnieg ten przechować na miesiąc maj, ażeby w odpowiedniej chwili przystroić nim i udekorować całą Warszawę. Istniał, jakoby, projekt, by w *maju, gdy będzie śnieg*, nastąpił uroczysty akt otwarcia Teatru Rozmaitości, ale osoby wpływowe i miarodajne zadecydowały, że śnieg wystarczy.

Wiosna... i warszawianki odnoszą się nieufnie do tegorocznej wiosny.

Nie znaczy to, że jeszcze „chodzą po zimowemu" lub że nie odbywają pielgrzymek tam, gdzie ostatnie paryskie modele tak oko nęcą...

Ale sama moda drwi z tradycji wiosennych. Przedewszystkiem cera każdej szanującej się i kochającej kobiety nietylko że się nie liczy, ale też i nie liczy na wiosnę. Zanim pierwszy podmuch wiosny i pierwszy promień, i tak dalej— wszystkie są już opalone, różowe, czerstwe (nie wiem, jak się ten puder nazywa).

A kapelusz? Wciśnięty na główkę, na oczy, na uszy, na nos, na usta, na brodę, chroni, tak najwyraźniej chroni, nie przed słońcem wiosennem, lecz śniegiem i deszczem, który by mógł zmyć całą cerę.

I szyi kobieta nie odsłania, by pozwoić wiosennemu wiaterkowi na igraszki dozwolone, a notorycznie przez notorycznych poetów zachwalane, lecz z obawy przed... chyba, przed powodzią, zasłania szalem czy chustką. Szale i chustki, modne ongi w Paryżu i na Zachodzie, przywędrowały do Warszawy zamiast jaskółek. Dawniej o tej porze bawiono się w „zielone", teraz w „chustkę" ...I któż by przypuszczał, że zniesienie ministerstwa zdrowia będzie miało tak dodatni wpływ na hygienę. Podobno większość obywateli ma przynajmniej po jednej chustce — nawet do nosa.

Proszę jednak nie identyfikować chustek z szalami. Szal jest wiosennym wyrazem nastrojów kobiecych. Ażeby się pan w tem mógł jako tako zorjentować i zrozumieć mowę szala, podaję kilka zasadniczych *wyrazów szalowych*. Kolor nie gra żadnej roli, gdyż przeważnie szale otrzymuje się w upominku. Szal przerzucony i zwisający na lewem ramieniu oznacza — mam tylko jeden, drugi nie jest potrzebny. Szal przerzucony przez prawe ramię — nie mam czasu. Szal zawiązany na supeł jest — gordyjski. Szal zawiązany na dwa supły jest cechą zimnych charakterów. Szal wcale nie zawiązany nosi kobieta lekkomyślna. Szal mocno zaciśnięty koło szyi jest cechą złej gospodyni. Kobieta, która wiąże szal na kokardę, nosi się z zamiarem napisania powieści lub wyjścia za mąż z rozsądku. Jeżeli spotkasz kobietę, która szal trzyma w ręce, to zejdź jej z drogi na wszelki wypadek. Przyjaciółka moja, która nosi dwa szale, jest w szale i przededniu porządków wielkanocnych...

Hiromancja i grafologja ustąpiły już szalomanji.

Dla mężczyzn w tym roku wiosna jest prawdziwie grabska. Grabiło się przez lata, a teraz przyszła pora płacenia podatku majątkowego. Koniecznie na wiosnę! Albo i ten Bank Emisyjny. Tu płać i tam płać, a jak nie zapłacisz, to ci nawet w kabarecie powiedzą, żeś... A nikt nie jest usposobiony do płacenia na wiosnę. Mówił mi jeden pan, że to jest pora do zaciągania długów, że wprawdzie latem, jesienią i zimą także jest przykro rozstawać się z pieniędzmi—ale, żeby tak odrazu na wiosnę zabierać złudzenia i pieniądze...

Wiosna w „Teatrze Polskim" rozpoczęła się wspaniale. Zdjęto „żywego trupa", przepędzono „rogaczy" i innych darmozjadów (kartkowych) i Cyrano de Bergerac przy wyprzedanej sali mówi o miłości i pocałunku. Wszystkie kobiety na widowni kochają się w brzydkim mężczyź ie. Wszyscy brzydcy mężczyźni czują się podniesieni na duchu, bo... *gront to serce*. Niektórzy krytycy poczytują, jak zwykle, za złe dyrekcji Teatru Polskiego, że hołduje niższym instynktom szerokich warstw publiczności, wystawiając sztukę, która musi mieć powodzenie— bo wielu jest mężczyzn szpetnych] i wzniosłych kobiet na wiosnę...

Wiosna.... w kwiaciarniach sprzedają fijołki nicejskie, w ziemiańskiej zakwitają pączki, a na ulicach pomarańcze, marmoladki i papierosy. Młodzież szkolna zasiada do wypracowań „najpiękniejsza pora roku", a w Alejach na ławce zasiadają bony i żołnierze, poruszając ten sam temat w odmienny nieco sposób.

Jednem słowem — feljeton o wiośnie skończony.

H. Jel.

Występy w Konserwatorjum.



P. Janina Familier-Hepnerowa, młoda, utalentowana pianistka wystąpiła na koncercie w Konserwatorjum, grając Mozarta, Saint-Saensa i warjacje symfoniczne Francka. Recital ten wywołał bardzo gorący oddźwięk w krytyce i uznanie u publiczności.

Najważniejsze wypadki minionego tygodnia.

SPRAWY PARLAMENTARNE.

Oskarżenię p. Kucharskiego, z powodu afery żyrardowskiej, uzasadniał w Sejmie pos. Moraczewski. Bronił b. ministra pos. Chełmiński. Wybrana komisja specjalna rozstrzygnie, czy p. Kucharski stanie przed Trybunałem stanu.

Projekt podatku od zwierząt domowych wywołał gwałtowny sprzeciw stronnictw włościańskich. Większość Sejmu nie podzieliła ich poglądów i zamiast utrącić projekt, odesłała go do Komisji.

Ustawę o odbudowie kraju przyjął Sejm w brzmieniu i w myśl opinji Komisji odbudowy.

Do przerwania strajku wezwał górników śląskich z trybuny sejmowej kierownik mininisterstwa pracy Simon, wskazując, że rząd nie występował nigdy przeciw istotnym interesom robotników i bynajmniej nie staje po stronie kapitału.

Przeciw instytucji ordynansów wojskowych w czasie pokoju wniesiono w Sejmie wniosek nagły. Zamiast marnotrawić czas 10 tysięcy młodych silnych ludzi, lepiej wypłacać oficerom zapomogi na usługę.

Sen. Hammerling został usunięty z partji „Piasta", wobec tego, że specjalny sąd honorowy nie oczyścił go z amerykańskich zarzutów.

SANACJA SKARBU.

Optymistyczną ocenę sytuacji finansowej kraju dał premjer Grabski na posiedzeniu Sejmowej Komisji budżetowej. Naprawa skarbu jest już faktem dokonanym.

Goracą pochwałę poświęcił p. Grabski pracującej inteligencji, podnosząc jej ofiarność dla państwa przez pokrycie 10 procent akcji Banku polskiego.

Rada finansowa oświadczyła się przeciw dwuwalutowości w przejściowym okresie. Marki posłużą na razie tylko, jako bilon, do czasu wprawadzenia metalowego bilonu.

Bezrobocie w Polsce zaczyna się zmniejszać. Obawy wielkiego kryzysu przemysłowego w okresie sanacyjnym, na szczęście, okazały się płonne.

SPRAWY POLSKIE.

Na ponowne rozpatrzenie sprawy Kłajpedy zgodził się rząd Mc Donalda, jednakże treść Konwencji ma pozostać ta sama. Francja i Włochy popierają słuszne żądania Polski.

Polepszenie doli polskich emigrantów we Francji sprowadzić mają toczące się w Paryżu rokowania. Przy dobrej woli uda się niewątpliwie usunąć konflikty i wprowadzić poprawę obecnych niekorzystnych stosunków.

Z powodu zajść w Olsztynie rząd niemiecki wyraził posłowi polskiemu ubolewanie. Lepiej byłoby, gdyby, zamiast ubolewać, zabezpieczył polaków przed aktami gwałtu.

POLITYKA ZAGRANICZNA.

Odnowiony gabinet Poincarego otrzymał od Izby votum zaufania ogromną większością. Francja nie odstąpi od swoich żądań. Energję Poincarego uwieńczyło powodzenie.

Wybory do parlamentu włoskiego odbywają się w zupełnym spokoju. Zwycięstwo listy narodowej jest zapewnione. Walka toczy się właściwie tylko o podział mandatów między mniejszości.

Głośny proces Hittlera zakończony. Ludendorfa skazano tylko na zapłatę kosztów sądowych, Hittlera i trzech wspólników na 5 lat twierdzy, innych na rok i 3 miesiące. Nacjonaliści i monarchiści zorganizowali burzliwe manifestacje na cześć skazanych.

RÓŻNE.

Katastrofa powodzi minęła. Straty są wprawdzie duże, ale na ogół mniejsze, niż oczekiwano.

Bagiński i Wieczorkiewicz, po zwolnieniu od zarzutu udziału w zamachu na uniwersytet warszawski, zostali za inne zbrodnie skazani ponownie na wydalenie z wojska i śmierć przez rozstrzelanie.

Zeszyt Łódzki „Świata" ze względów technicznych zostanie wydany w maju r.b.

35-lecie pracy.



STEFAN GANO, naczelnik wydziału zakupów tramwajów miejskich w Warszawie, obchodził w marcu 1924 r. jubileusz XXXV-letniej pracy w tramwajach warszawskich.

O LUDZIACH, LUDZIKACH I O CZŁOWIEKU.

Trudno jest znaleźć odpowiedni tytu do zbioru opowiadań, powstałych w różnych okresach czasu i dających materjanarracyjny bardzo niejednolity. P. Jerwicz, chcąc uwypuklić psychologiczne i moralne czynniki jej opowieści, rzuciła na front charakterystyczne określenie: „O ludziach, ludzikach i o człowieku": Właściwie w naracjach tych najwięcej miejsca poświęcono „Ludzikom". Postaci serjo da się naliczyć niewiele. Do takich włączyć należy tragicznego ślepca Zdanowicza. Żywiołowo bliższe są obserwacyjnym zdolnościom autorki postacie z opowiadań o zacięciu charakterystycznem, jak np. „Co się pannie Żanci przytrafiło" lub „Sentymentalna awanturka Ljany". Dobrze też widzianą jest nowela p. t. „Prawie, że idylla"... Jest przytem ciekawe, że p. Jerwicz nietylko kobiety widzi we właściwem świetle. Męscy bohaterzy również udają się autorce.

Bardzo zabawną jest opowiastka „Sentymentalna awanturka Ljany". Należy ją wysunąć na czoło w tym zbiorku. Tylko w Polsce jest możliwe, iż przygodnie poznaną osobę zaprasza się pod własny dach. Co więcej, anektuje się najwyraźniej jej swobodę ruchów i zanudza gościnnością. A kto jest ta osoba? Ubrana jest starannie, wykwintnie. Maniery ma przednie. Przeważnie jednak należy do wesołego świata, który nie bywa tolerowany wśród czcigodnych ścian ognisk rodzinnych. Piękna Ljana znalazła się w domu mecenasowskim w Krakowie i tu na święta Bożego Narodzenia zaproszona przez pania Dynarzewską. Jakiż finał tej idylli? Musiała złożyć kilkadziesiąt tysięcy marek na wdowy po adwokatach. Dlaczego? Zbyt gościnnym był pan mecenas, gdy dowiedział się o prawdzie jej kondycji socjalnej.

Opowiadania „O ludziach, ludzikach i o człowieka" czyta się lekko, zajmująco. Jako lektura w treści niemonotonna a ciekawa może ten zbiór liczyć na poczytność w bibljotekach.

Z KALOTECHNIKI.

Pani Doktorowej K. Z. Jeżeli wypadanie włosów ustało, to nadal stosować nie potrzeba.

P. por. Zvsko. Napewno się wyleczy za pomocą naświetlania specjalną lampą. Posiadamy. Nasz lekarz przyjmuje tylko według zapisu, można listownie, z podaniem nazwiska i daty.

P. Zofji L. Piegi znikną po zastosowaniu środka D-ra Leroux „Petunia", Paris. Wyślemy.

P. Kpt. Z. K. Należy przesłać kilka włosów do analizy, adresując: *„Kalotechnika", Warszawa, Marszałkowska 116.*

Dawnej pacjentce. Tak jest. Przyjmuje stale ten sam doktór, wyłącznie u nas w *„Kalotechnice"*.

Odp. Red-wydawca ST. KRZYWOSZEWSKI.
Druk Gniewski i Dau, Warszawa.

CENY ZA OGŁOSZENIA W ZŁOTYCH POLSKICH:

STRONA	1/1	1/2	1/4	1/8	1/16
I OKŁADKA	180.—	90.—	45.—	23.—	12.—
II „	135.—	68.—	34.—	17.—	9.—
III „	135.—	68.—	34.—	17.—	9.—
IV „	180.—	90.—	45.—	23.—	12.—
W tekście	250.—	125.—	63.—	32.—	18.—
Przed romansem	200.—	100.—	50.—	25.—	15.—

STRONA OPISOWA: Złp. 250. —FOTOGR. i KLISZE na rach. KLIJENTA. Za wiersz wysok. 1 milimetra szerokości 1 szpalty: KRON. TOWARZ. i KOMUNIKATY za 1 m/m 50 groszy. PIERWSZA STRONA tekst za 1 m/m 80 groszy. Za terminowy druk ogłoszeń Admin. nie odpowiada. Rachunki płatne są w Mkp. podług kursu złotego polskiego dnia poprzedniego.

PRENUMERATĘ przyjmują:

W WARSZAWIE: Administracja „ŚWIATA"

SZPITALNA 12. Tel.: Administr. 504-00, Ekspedycja 47-25.

Konto czekowe P. K. O. № 3755.

Księgarnia Trzaska, Evert i Michalski Krak. Przedm. 13, (Hotel Europ.) W Łodzi: Biuro dzien. ogł. „PROMIEŃ" Piotrkowska № 81. księgarnia „Czytaj" Dzielna 2 Filja Katowice Górnicza 13 skrz. poczt. 211. CENA PRENUMERATY w Warszawie mies. Mk. 6.500.000—kw. 19.500.000 z odnoszeniem do domu mies. Mk 6.750.000 — kw. 20.250.000, na prowincji mies. 7.500.000—kw. 22.500.000. Zagranicą podwójnie. Numer pojedyńczy Mk. 1.800.000.

DRUK GALEWSKI I DAU WARSZAWA